

Monika Sokół

Cień mechanicznego anioła

Ulicą Hellenopolis szedł młody mężczyzna w meloniku i podniszczonym brązowym surducie. Co jakiś czas, podobnie jak inni przechodnie, zerkał do góry. W jego jasnych, niebieskich oczach widać było niepokój.

Obiektem zaintrygowanych spojrzeń i spekulacji mieszkańców Miasta był krążący od rana po niebie olbrzymi mechaniczny anioł. Największe tego typu maszyny używane przez Szakali wyglądały przy nim jak mucha przy orle.

Mechaniczny anioł wcale nie przypominał anioła. Miał pękate, wrzecionowate ciało i ogromne skrzydła, które nieustannie poruszając się w górę i w dół, młóciły powietrze. Był tak czarny, że odnosiło się wrażenie, jakby pochłaniał promienie słońca. Swoją drogą i tak nie było tu zbyt wiele światła, z powodu dymów nagromadzonych nad przemysłową częścią Miasta.

Blondyn w brązowym surducie był niemal pewien, że wie, skąd wzięła się czarna plama na niebie. Zaskoczyło go tylko, że nadszedł już czas, by cień jej wielkich skrzydeł padł na miasto. Jeżeli miał rację, w ciągu najbliższych dni czekała go wytężona praca. Musiał się jednak upewnić, a to oznaczało wizytę w banku.

Blondyn wyszedł z wąskiego, brudnego zaułka i nagle znalazł się na szerokiej ulicy pełnej eleganckich sklepów, kantorów adwokackich i najbogatszych banków. Piękne kobiety, sunące po chodnikach z twarzami ukrytymi pod szerokimi rondami kapeluszy, omiatały swoimi długimi spódnicami marmurowe kostki bruku, tak czyste, że można byłoby z nich jeść. Spacerować tędy mieli prawo tylko ludzie bogaci i zasłużeni dla Miasta.

Mijani przechodnie patrzyli nieufnie na młodzieńca w starym surducie. To nie było miejsce dla niego. Twarze mężczyzn wykrzywiały grymas pogardy, czasami dodatkowo zabarwiony zazdrością, gdyż niektóre kobiety zdawały się nie być obojętne na niebezpieczną urodę młodego ulicznika. On natomiast miał to za nic i uśmiechając się bezczelnie, puszczał oko do każdej kobiety, która dłużej zatrzymała na nim wzrok.

Wreszcie stanął u celu, którym były szerokie białe schody prowadzące do jednego z najbardziej szanowanych banków w Mieście. U ich szczytu stał portier w liberii i wrogo patrzył na obszarpańca wyglądającego, jak gdyby planował splugawić swoją obecnością doskonale wnętrze banku.

– Won – warknął.

Młodzieniec roześmiał się i wbiegł po schodach. Mijając szykującego się do ataku odźwiernego, rzucił do góry monetę. Portierowi oczy zaokrągliły się ze zdziwienia, gdy w słońcu błysnęło złoto. Złapał je i z niedowierzaniem przyglądał się metalowemu krążkowi. Nie zauważył nawet, że po blondynie w starym meloniku nie było już śladu. Podobnie jak po napiwkach, które zręczne palce wyciągnęły mu niepostrzeżenie z kieszeni.

Niestety, ku późniejszemu głębokiemu rozczarowaniu portiera, gdy w domu będzie chciał dokładnie obejrzeć swój skarb w świetle gazowej lampy, okaże się, że to, co wziął uprzednio za złoto, bynajmniej złotem nie jest.

Młody mężczyzna, będąc już w głównej sali banku, skierował się ku jednej z panien w wysokich białych kołnierzykach zapiętych pod szyję, siedzących za masywnymi biurkami, których pięknie inkrustowane ścianki kryły w sobie skomplikowaną maszynę.

– Witam. – Dziewczyna uśmiechnęła się służbowo. – W czym mogę pomóc?

– Jestem Hermann Tess – przedstawił się. – Chciałbym dowiedzieć się, czy na moje konto nie wpłynęła czasami jakaś wiadomość.

- Służę uprzejmie. Poproszę kartę.

Hermann wyciągnął z kieszeni kamizelki platynową blaszkę perforowaną, zdobioną na brzegach złotymi roślinnymi ornamentami.

Dziewczyna spojrzała zaskoczona na drogocenne cacko i jej właściciela, który zdecydowanie różnił się wyglądem od przeciętnego posiadacza platynowej karty. Bez słowa wzięła ją i włożyła do jednego z licznych otworów w blacie biurka. Dobrze naoliwione trybiki zaszemrały i po chwili wbudowana w biurko maszyna pisząca wystukała swoją wiadomość. Dziewczyna rzuciła na nią okiem.

– Istotnie, jest dla pana wiadomość – oznajmiła, a potem pochyliła się nad srebrną tubą, od której w niewiadomym kierunku odchodziła rurka.

– Goniec do trójki. Goniec do trójki. – Jej wezwanie popłynęło w głąb trzewi banku i już po chwili do biurka podszedł kilkunastoletni chłopiec w uniformie. Odebrawszy karteczkę z poleceniem, zniknął za pancernymi drzwiami.

– Zechce pan spocząć. – Młoda kobieta wskazała mu fotele w zacisznym kącie sali. – Niestety, oczekiwanie na list może chwilę zająć. Oto pańska karta.

– Dziękuję.

Blondyn znany powszechnie jako Hermann Tess z przyjemnością opadł w miękkie

wnętrze fotela. Z niejakim sentymentem rozglądał się po banku. Ile to już razy go okradał? A, tak, cztery. Potem dał sobie z tym spokój, gdyż okradanie miejsca, w którym trzymał swoje pieniądze, uważał raz – za nudne, dwa – za, bądź co bądź, trochę nieetyczne.

Posłaniec wrócił szybko. W ręku niósł kopertę z cienkiej, matowej blaszki. Panienska za biurkiem zręcznie ją przejęła i już po chwili stała przed Hermannem z wyciągniętym w jego stronę formularzem pokwitowania i wiecznym piórem. Kopertę otrzymał dopiero po złożeniu na karteluszkę swojego zamaszystego podpisu. Dziewczyna życzyła mu udanego dnia i wróciła za biurko.

Młody mężczyzna siedział jeszcze przez chwilę, wpatrując się z powagą w metalową kopertę z logiem banku w górnym lewym rogu. Obawiał się, że wie, co zawiera przesyłka i ta wiedza wcale go nie cieszyła.

Zdecydował, że otworzy ją w jakimś miejscu bardziej odpowiednim do tego, by spokojnie pomyśleć, a nie tutaj, gdzie wszyscy z dezaprobatą patrzą na niego i jego znoszony surdut.

Wstał i wyszedł. Portier nawet nie zauważył, gdy go minął. Hermann Tess miał to do siebie, że gdy nie chciał, by ludzie go widzieli, po prostu go nie widzieli. W jego fachu to bardzo przydatna umiejętność.

Hermann skierował swe kroki ku robotniczej dzielnicy Wielki Młot, gdzie znajdowała się pewna zaciszna knajpka, o tej porze niewątpliwie świecąca pustkami. Zaczynała się zapełniać dopiero po dziennej szychcie, gdy pracownicy fabryk i hut wychodzili z pracy.

Blondyn, dobrze tu znany, siadł przy stoliku w kącie i zamówił piwo. Kopertę położył przed sobą. Oparł brodę na splecionych dłoniach i przyglądał się jej, jakby była jakimś złym i niebezpiecznym stworzeniem. Odczuwał niemal atawistyczny lęk przed otwarciem jej. Bał się, że gdy to zrobi, przypieczętuje los swój i wszystkich innych mieszkańców H-polis. I chociaż rozsądek podpowiadał mu, że Parki przędą swoją nić niezależnie od tego, co w tym momencie robi, to jednak czuł się, jakby na jego ramionach złożono ciężar odpowiedzialności za całą ludzkość.

Musiał otworzyć kopertę. Był Posłańcem, otrzymał wiadomość i musiał zanieść ją innym. Musiał to zrobić, choćby nie chciał nie wiadomo jak bardzo. To był jego obowiązek.

Wziął w dłonie blaszaną kopertę z banku i szybkim ruchem zwolnił zatrzaski. Z matowego metalowego wnętrza wypadła koperta. Taka prawdziwa, z grubego papieru

czerpanego, zaadresowana starannie kaligraficznym pismem „Dla Szanownego Pana Hermanna Tessa” i opatrzona charakterystyczną pieczęcią.

Gdy podważył ją ostrym jak brzytwa nożem, wiedział, że od tej chwili wszystko ulegnie zmianie. Bezwrotnie.

„Szanowny Panie!

Proszę stawić się wraz z Przyjaciółmi na spotkanie, 12 tarymena w południe, na ulicę Wschodniego Łuku 52. Sprawa najwyższej wagi.

Z poważaniem...”

Tutaj zamiast podpisu widniał znak identyczny z tym na pieczęci – koło z abstrakcyjnymi symbolami weń wpisanymi.

Tess siedział w milczeniu, wpatrując się w kartkę. W końcu zdecydowanym ruchem schował list do koperty i włożył do wewnętrznej kieszeni surduta. W zamian za elegancką metalową osłonkę z banku dostał od barmana piwo. Sącząc je, Hermann Tess obmyślał plan działania.

Najpierw należy powiadomić Wielkiego Z, jak złośliwie nazywał w myślach swojego nominalnego szefa. Z był bardzo czuły na punkcie swojego statusu i mogłoby się nie najlepiej skończyć dla Hermanna, gdyby o tym zapomniał.

Odnalezienie Z nie było trudne. Jego twarz bardzo często pojawiała się na łamach gazet, starannie narysowana przez etatowych portrecistów. Z znano powszechnie jako potężnego kanclerza H-polis. Co prawda Miasto miało swój parlament, ale nic w nim nie działo się bez zezwolenia Z.

Do niego właśnie Hermann musiał się udać.

Gorzej było z resztą grupy. Będzie musiał trochę popytać, żeby ich odnaleźć. Wiedział jednak, gdzie zacząć.

Hermann Tess włożył list za pazuchę i wyszedł z robotniczej gospody. W zamyśleniu spojrzał na ratusz górujący nad zabudowaniami miejskimi. To tam przyjdzie mu na dobre rozpocząć swoją misję.

Westchnął głęboko, poprawił melonik i ruszył w stronę olbrzymiej wieży z czerwonej cegły stojącej w samym sercu Miasta i dachem niemal sięgającej nieba.

Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna przemierzał korytarze ratusza w drodze do swoich apartamentów. Jasne włosy i brodę miał starannie ufryzowane, a dopasowany

kremowy surdut podkreślał harmonijną sylwetkę. Jego zimne niebieskie oczy dokładnie lustrowały każdego, kogo spotkał. Urzędnicy, straż, służba natychmiast rozstępowali się przed nim i z szacunkiem skłaniali głowy.

Niemal we wszystkich mieszkańcach H-polis kanclerz Zeuros budził respekt. Tych, w których go nie budził, szybko odnajdywała tajna policja, zwana potocznie Szakalami, i przekonywała tak długo, aż i w nich obudził się szacunek dla Ojca Miasta.

Zeuros miał dar zjednywania sobie tłumów i podczas zgromadzeń na Placu Ratuszowym potrafił porwać przemową słuchających go obywateli Miasta. Kanclerz dbał też o to, by wszelkie niepopularne postanowienia przekazywane były do publicznej wiadomości przez jego ministrów tak, jakby on nie miał z nimi nic wspólnego. Starannie skrywaną, lecz mimo to powszechnie znaną słabością kanclerza, była jego atencja dla płci przeciwnej. Uwielbiał kobiety i zmieniał je bez sentymentu, gdy dostrzegał u siebie najmniejsze oznaki znudzenia.

Teraz zmierzał do swojej sypialni, gdzie spodziewał się zastać nastoletnią córkę jednego ze swoich urzędników. Ojcowie bardzo chętnie podsuwali mu pod nos swoje dzieci, gdyż zazwyczaj wiązało się to z awansem lub grubszym dopływem gotówki, gdy Zeuros był zadowolony z dziewczyny.

Jakież było zdziwienie kanclerza, gdy zamiast młodej, uroczej kobiety, w rozjaśnionej blaskiem świec sypialni zobaczył siedzącego wygodnie w fotelu z nogami założonymi na stolik jasnowłosego mężczyznę w wytartym surducie, sączącego wino.

– Hermes! – sapnął zaskoczony. – Co ty tu, na bramy Tartaru, robisz?!

Hermann Tess uśmiechnął się złośliwie, zadowolony z efektu, jaki wywarł.

– Wpadłem z wizytą, ojcze.

Kanclerz skrzywił się, słysząc te słowa. Z całej jego postaci biła ledwie skrywana niechęć. Podeszedł do stolika i nalał sobie wina.

- Daruj sobie, Hermesie – mruknął, siadając w drugim fotelu. – Ty nigdy nie zjawiasz się bez powodu. Czego chcesz? Pieniądzy? Stanowiska?

- Twoim największym problemem, drogi ojcze – Hermann używał tego słowa z lubością, wiedząc, jak drażni ono kanclerza – jest to, że wszystkich mierzysz swoją miarą. Już od dawna powinieneś wiedzieć, że gdy potrzebuję pieniędzy, to zdobywam je sam, a władza nigdy mnie nie pociągała. Uwierz mi, że gdybym nie musiał, to nigdy bym nie przyszedł. Ale musiałem.

To mówiąc, wyciągnął list i podał go kanclerzowi. Zeuros obejrzał go nieufnie, zanim otworzył, gdy jednak ujrzał pieczęć, całe jego zachowanie uległo zmianie. Uważnie przeczytał wiadomość, a potem w zamyśleniu pogładził brodę.

- Wygląda na to, że nadszedł już czas. Może to i lepiej? – wzruszył ramionami. – Kto jeszcze o tym wie?

– Jeszcze nikt, Zeusie. Najpierw chciałem zawiadomić ciebie.

– Dobrze zrobiłeś. – Przez zimne oczy kanclerza przebiegł cień zadowolenia. – Odnajdź innych. A gdy będziesz wychodził, przyslij mi z powrotem tę dziewczynę.

Hermann Tess wyszedł bez słowa. Ani myślał robić za rajfura swojego znenawidzonego ojca. Zastanawiała go reakcja Wielkiego Z. Wyglądało na to, że był dosyć zadowolony z wiadomości. Nawet przez chwilę nie pomyślał o losie ludzi, którymi rządził. Jak zwykle dla Zeusa liczyła się władza i własne zachcianki. Widocznie H-polis musiało go już bardzo znudzić.

Tylko gdzie szukać tych „innych”? Reszta grupy rozpełzła się po różnych zakamarkach Miasta, pozmieniali tożsamości i wygląd. Musiał odnaleźć ich wszystkich, a nie miał zbyt wiele czasu. Zeus na pewno wiedział, gdzie można ich znaleźć, ale Hermann nie chciał dawać mu satysfakcji, prosząc o pomoc. Sam sobie poradzi. Jest przecież Hermesem – dla niego nie ma rzeczy niemożliwych.

Na szczęście wiedział, gdzie urzęduje, jeżeli można to tak nazwać, kolejny z Olimpijczyków.

W ciemnym zaułku czuć było zgnilizną i ludzkim moczem. I chociaż był to zapach charakterystyczny dla całej dzielnicy Podmoście, to jednak w tym miejscu występował ze szczególną intensywnością.

Hermann Tess zręcznie lawirował pomiędzy kałużami podejrzanych cieczy i kupami śmieci. Nie zwracał uwagi na wrogie spojrzenia, jakimi był obrzucany przez istoty ukryte w głębokim cieniu bram i bocznych zaułków. Zatrzymał się dopiero przed starymi, odrapanymi drzwiami i zastukał w określony sposób. Na wysokości oczu otwarto wąski wizjer.

– Czego?! – ryknęło ze środka.

- Wpuść mnie albo każę cię wychłostać, a wszystkie dziwki Podziemi będą pazurami rozdrapywać twoje rany – Tess bez zająknięcia wyrecytował hasło.

Drzwi skrzypnęły zachęcająco.

- Zapraszam – mruknął odźwierny, który stanowił, jak z wyglądu mniemał Hermann, brakujące ogniwo w łańcuchu ewolucji.

Nie zwlekając, Tess wszedł do środka. Za niewielką sienią znajdowały się wąskie, strome schody, którymi ruszył w dół. Stanowiły one zaledwie wstęp do skomplikowanej drogi wiodącej przez piwnice pod miastem, składy kupieckie, wyschnięte kanały. U celu znajdowały się okute blachą drzwi. Blondyn podał stojącemu przy nich strażnikowi kolejne hasło, równie barwne jak poprzednie i został wpuszczony do środka.

Jego oczom ukazała się sala, która pierwotnie musiała być urządzona z przepychem, lecz teraz, zdewastowana, chyliła się ku ruinie. Jednak akurat nie to przyciągało uwagę przybysza, a całe mnóstwo kopulujących gdzie popadnie par, trójkątów lub całych grup. Na środku sali, na podwyższeniu, stało łożo, a na nim leżał tłusty, łysy facet obsługiwany przez trzy kobiety.

Hermann ruszył w tamtym kierunku, lecz zanim przebył choćby połowę drogi, podeszły do niego dwie prawie nagie kobiety i zaczęły się o niego lubieżnie ocierać.

- Nie tym razem, drogie panie. – Uśmiechnął się przepraszająco i stanowczo je odsunął.

- Dion, skończ to. Musimy porozmawiać – powiedział, stając przy łożu i nie zwracając uwagi na sytuację, w jakiej właśnie znajdował się brzydki mężczyzna.

Zagadnięty niechętnie popatrzył na intruza i warknął: – Nie widzisz, co robię? Trochę taktu, Hermesie.

- Kończ, bo to ważna sprawa. Będę czekał na ciebie w kuchni.

Kuchnia była względnie spokojnym miejscem, jeśli nie liczyć dwóch kobiet tarzających się po stole i miażdżących swoimi ciałami kiście winogron.

Hermann nalał do szklanki wina i umiłał sobie czas oczekiwania oglądaniem zmagania obydwu pań. Po dłuższej chwili przykuśtykał szef całego tego rozpustnego cyrku.

- Sio! – machnął na kobiety, które wybiegły z kuchni z głośnym śmiechem.

- Czego chcesz? – spytał przybysza.

- Umyj ręce – powiedział spokojnie Hermann.

- Co?!

- Umyj ręce – powtórzył.

- Po to tu przyszedłeś?! Uczyć mnie higieny?!

- Rób, co mówię, bo nigdy nie poznasz celu mojej wizyty – zniecierpliwiał się blondyn.

Grubas złorzeczył pod nosem, ale opłukał dłonie.

- Teraz je wytrzyj, Dionizosie.

- Hermesie, nie przeciągaj struny. – Jednak posłusznie wytarł ręce w jakąś ścierkę leżącą obok, która okazała się częścią garderoby jednej z zapaśniczek ze stołu.

Hermann podał mu list. Gdy Dionizos przebiegł wzrokiem jego zawartość, spoważniał.

- A więc to już – stwierdził w zamyśleniu. – Powinienem się domyślić, gdy usłyszałem o mechanicznym aniele krążącym nad miastem. Oczywiście będę na spotkaniu – dodał.

- Wiesz może, gdzie podziewają się inni? Oprócz Wielkiego Z, bo jego nie sposób stracić z oczu.

Dionizos podrapał się w łysą głowę.

- Atenę znajdziesz pewnie na uniwersytecie, Afrodyta ma ekskluzywny dom publiczny w Dzielnicy Jabłoni, Ares jest szefem tajnej policji i szczerze mówiąc, nie zazdroszczę ci spotkania z nim. Resztę znajdź sam. Co to dla ciebie? Przecież jesteś Posłańcem.

Odnalezienie Ateny rzeczywiście nie stanowiło problemu. Wystarczyło, że popytał na wydziałach ścisłych Uniwersytetu Miejskiego o pracoholiczkę, która dni i noce spędza na uczelni. Pytani bez wahania wskazywali mu alchemiczkę Atrenię.

Tak, jak się spodziewał, odnalazł ją w laboratorium. Skryty za regałem z probówkami, patrzył na drobną kobietę przeciętnej urody, z włosami związanymi w bezładny kok, o dłoniach i fartuchu poplamionych jakimiś substancjami. Była całkowicie pochłonięta odmierzaniem kolorowych proszków na maleńkich szalkach alchemicznej wagi.

Wreszcie znudziło go czekanie. Z doświadczenia wiedział, że Atena może pracować bardzo długo bez jakiegokolwiek przerwy. Postanowił jej więc przeszkodzić.

- Witaj, najśłodszy geniuszu, jakiego znam. – Uśmiechnął się szeroko, wychodząc z cienia.

- Pfff... Też mi komplement – parsknęła kobieta, nie odrywając oczu od proszku, który właśnie wsypywała do próbki. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Musiała od

początku wiedzieć, że ma gościa. – „Słodki” i „geniusz” raczej się nawzajem wykluczają.

- W zasadzie tak, ale ty jesteś prawdopodobnie jedynym wyjątkiem od reguły.

- Przestań się wysilać. Dobrze wiesz, że twoje piękne słówka nie robią na mnie wrażenia. Czego chcesz? – spytała, obserwując reakcję proszku na płyn, który do niego dodała. Z próbki zaczął unosić się gęsty, gryzący dym. Atena zanotowała coś na kartce papieru.

- Masz, czytaj. – Hermann wyciągnął w jej kierunku list.

Wzięła go zniecierpliwionym ruchem, lecz gdy jej wzrok padł na pieczęć, zamarła.

- To już? – spytała zaniepokojona, patrząc mu prosto w oczy.

- Na to wygląda.

Przeczytawszy wiadomość, Atena zamyśliła się głęboko. Zupełnie straciła zainteresowanie prowadzonym eksperymentem.

- Przyjdę, rzecz jasna – wyszeptała, błędząc nieobecny wzrokiem po regale z próbkami i składnikami.

- Ateno, czy wiesz może, gdzie podziała się reszta? – spytał Hermann niby mimochodem. – Rozmawiałem już z Wielkim Z i z Dionem.

- Ami spotkasz na wyścigach ważek parowych, Hera wyszła za mąż za jakiegoś kupca, ale nie wiem, gdzie mieszka, a wuja spotkasz na rybach lub na wyścigach golemów. Resztę będziesz musiał znaleźć sam. – Pochyliła się znów nad przyrządami. – Jak będziesz wychodził...

Nie skończyła, bo zorientowała się, że w laboratorium oprócz niej nie ma nikogo.

\

Hermann Tess szedł ulicami H-polis, rozmyślając, jak bardzo niewdzięczną jest jego rola. Musiał odnaleźć i powiadomić o liście grupę osób powiązaną z nim bardzo specyficznymi więzami. Większości z nich nawet nie lubił, a kilkoro najchętniej udusiłby własnymi rękoma. Zastanawiał się też, jak bardzo zmieniło się każde z nich. Niegdyś stanowili zwartą, silną grupę, a teraz? Szkoda słów.

- Jak leziesz, baranie! – Wrzask nad uchem wyrwał go z zamyślenia.

Idąc przez park uniwersytecki, pełen młodych ludzi w długich, ciemnych i gdzieś tam poplamionych smarem szatach, nie zauważył, że wszedł na zaimprovizowany naprędce przez studentów tor wyścigowy dla różnego rodzaju samobieżnych mini-golemów parowych. Małe stalowe stworzonka ożywione parą, jaka

powstała w wyniku reakcji różnych substancji, pędziły w stronę Hermanna ile sił w łapkach, nóżkach, kółkach czy gąsienicach.

Mężczyzna otrząsnął się z zaskoczenia i ze śmiechem usunął się z drogi peletonu. Golemiki miały w sobie coś rozzulającego, gdy tak bardzo starały się jak najszybciej dotrzeć do mety.

Hermann ruszył w dalszą drogę. Jego celem był jeden z najwyższych budynków w mieście, na którego szczycie znajdowały się hangary ważek i parolotni. Tam powinien spotkać kolejną osobę, która powinna stawić się na spotkanie.

Zanim pokonał wszystkie schody, kilka razy zatrzymywał się dla złapania oddechu. Gdy wszedł na platformę startową, wiatr o mało nie urwał mu głowy. W ostatniej chwili złapał swój nie pierwszej młodości melonik, chroniąc go przed upadkiem z wielu pięter w dół. Był bardzo przywiązany do tej części swojej garderoby i nie zamierzał się z nią rozstawać.

Na platformie był pierwszy raz. Jakoś nigdy nie ciągnęło go do tego, by podziwiać panoramę H-polis z tego akurat miejsca. W dole Miasto pocięte było siatką ulic i przesłonięte mgiełką dymu z kominów. Ludzie biegali to tu, to tam, mali jak mrówki.

Natomiast nad głowami unosił się większy i lepiej widoczny mechaniczny anioł. Widać było rzędy jego skrzydeł napędzane olbrzymimi ramionami tłoków.

- Jak pan myśli, czy to prawda, że to początek inwazji innego Miasta? – spytał starzec, który pojawił się przy Hermannie nie wiadomo skąd. Zadzierał głowę i osłaniał oczy przed słońcem. – Może to z Triduum albo z Konstantine?

To były dwa najbliższe Miasta-Państwa oddalone od H-polis o setki mil.

- Nie mam pojęcia – skłamał Tess. – Gdyby to miała być inwazja, to na co by w takim razie czekali?

- To dobre pytanie – mruknął dziadek.

- Czy nie wie pan, gdzie mogę znaleźć Ami? – Hermann skorzystał z okazji. – Powiedziano mi, że tu bywa.

- A pan to kto? – Starzec przyglądał mu się podejrzliwie.

- Rodzina.

- Nie wiedziałem, że ona ma rodzinę.

- No, cóż – Blondyn wzruszył ramionami. – Nie chwali się nami zbyt. Przyznam

się, że nasza rodzina nie żyje w wielkiej zgodzie.

- Pan tam o nią spyta. – Dziadek wskazał sękatym paluchem jeden z niewielkich hangarów, a potem odszedł w swoją stronę.

Hermann ruszył we wskazanym kierunku, mijając po drodze wózki szynowe ułatwiające start konstrukcji parolotniczych i rusztowania trzymające w swoich uchwytach małe ważki parowe. Pomiedzy tym wszystkim uwijali się ludzie.

Nagle Tess usłyszał ostrzegawczy krzyk. Spojrzał w niebo i zobaczył zmierzającą w jego kierunku ważkę. Leciła zbyt szybko, by było można to uznać za lądowanie, a z resztek jej komina buchał nienaturalnie czarny dym. Bez wątplenia zamierzała się rozbić. I to dokładnie tam, gdzie właśnie stał. Z przerażeniem w oczach rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby się ukryć. Niedaleko leżała sterta belek i desek przygotowanych do budowań nowych rusztowań startowych. Skoczył tam w ostatnim momencie. Chwile później przez miejsce, w którym stał, przejechała pchana siłą rozpędu podłużna metalowa konstrukcja ze skrzydłami połamanymi od uderzenia w platformę. Gdy ważka zatrzymała się na ścianie hangaru, wszyscy mężczyźni przebywający na platformie niepewnie zbliżyli się do kopącego żelastwa, z niepokojem wpatrując się w miejsce, gdzie powinna znajdować się kabina pilota.

Coś zaczęło się ruszać i ze sterty złomu wygramoliła się usmarowana sadzą postać w skórzanych bryczesach, podbitej kozuszką kurtce i czapce pilotce na głowie. Gogle przesłaniały jej pół twarzy, lecz Hermann poznałby Artemidę wszędzie po szerokim uśmiechu, jakim właśnie wszystkich obdarzyła.

- Nic mi nie jest, panowie – uspokoiła ich. – Wracajcie do pracy. Lucjuszu – zwróciła się do starca, z którym Tess wcześniej rozmawiała. – Kocioł szlag trafił. Ciśnienie nagle skoczyło i go rozsadziło. Pomyśl nad tym, bo nie chcę, żeby przytrafiło mi się to następnym razem.

Stary konstruktor tylko kiwnął głową i zabrał się za badanie tego, co niegdyś było ważką wyścigową. Natomiast Artemida skierowała się ku jednemu z hangarów. Drogę zastąpił jej Tess.

- Witaj, Ami. – Uśmiechnął się do niej zniewalająco. – Widzę, że nic się nie zmieniłaś. Wciąż pociąga cię ryzyko.

- Hermes! – Młoda kobieta rzuciła mu się na szyję. – Dawno cię nie widziałam. Co u ciebie? Opowiadaj! – Pociągnęła go za rękę w kierunku hangaru, gdzie znajdowało się jej

służbowe mieszkanie.

Rozmawiali o głupstwach, aż przy szklance mocnego Jaszczurczego Ogona Ami przeszła do sedna sprawy:

- Kochany, to bardzo miło, że do mnie wpadłeś, ale co tak naprawdę cię sprowadza? To czarne paskudztwo, które wisi nad miastem?

- Poniekąd. Czytaj. – Wyciągnął w jej kierunku list.

- Do diabła – warknęła po przeczytaniu. – Dlaczego to już? Nie chcę jeszcze stąd odchodzić. Jeszcze nie teraz.

- Słoneczko, sama wiesz, że my nie mamy tu zbyt wiele do powiedzenia.

- Wiem, wiem – westchnęła zrezygnowana.

- Potrzebuję pomocy, żeby odnaleźć resztę naszych i przekazać im wiadomość o spotkaniu. Wiesz, gdzie można ich znaleźć?

- Z kim już rozmawiałeś?

- Z Wielkim Z, z Dionem, z Ateną, no i z tobą.

- Wiem, gdzie przebywa Wynalazca. Pracuje w największej kuźni parowej miasta, przy ulicy Węgielkowej 302. Czasami podrzuca mi jakieś ulepszenia konstrukcyjne do ważek, dlatego tak dokładnie znam jego adres – wyjaśniła. – Powinieneś poszukać Demeter, bo ona będzie wiedziała gdzie znaleźć Herę i Posejdona. Matka Demeter opiekuje się biedotą w slumsach po drugiej stronie rzeki, w Kwartale Beznadziei. Myślę, że doskonale wiesz, gdzie urzęduje Afrodyta. – Spojrzała na niego znacząco. Jako jedna z nielicznych wiedziała o uczuciu, jakim Hermes wciąż darzył Zimną Lale, jak zwykła ją nazywać. – A Ares sam cię znajdzie.

- Dziękuję, Ami. Uważaj na siebie. – Ucałował ją w policzek i już go nie było.

Był wieczór, gdy stanął przed wielką bramą prowadzącą do Miejskiej Kuźni Parowej nr 3. Nie martwił się tym, że Hefajstos po swojej zmianie pójdzie do domu, bo domyślał się, że najprawdopodobniej mieszka w kuźni i opuszcza ją tylko w wyjątkowych przypadkach. Dosyć dobrze znał swojego brata i jego zwyczaje.

Bez kłopotu prześliznął się pomiędzy strażnikami i znalazł się wewnątrz wielkiej hali rozświetlonej rozgrzaną do wysokiej temperatury surówką i wypełnioną parą z nieszczelnych przewodów. Było tak gorąco, że ledwie dało się oddychać. W hali uwijali się ludzie w grubych skórzanych fartuchach i skórzanych maskach z goglami

zabezpieczającymi oczy przed gorącym i żrącymi oparami.

Hermann co prędzej przeszedł do drugiej, chłodniejszej sali, gdzie boleśnie ranił mu słuch huk młotów wielkości człowieka niestrudzenie uderzających w stal.

Tess złapał za ramię przebiegającego obok człowieka w masce.

- Gdzie znajdę szefa?! – wrzasnął mu do ucha.

Ten popatrzył na niego zdziwiony i wyjął z ucha zatyczkę.

- Co?! – spytał, starając się przekrzyczeć hałas.

- Gdzie znajdę szefa?!

Człowiek ze zniecierpliwieniem włożył zatyczkę do ucha, machnął ręką, wskazując pytającemu przybliżony kierunek i popędził dalej.

Hermann udał się we wskazaną stronę. Już z daleka dostrzegł znajomą przysadzistą sylwetkę brata pochyloną nad jakąś maszyną i grzebiącą w jej wnętrznościach. Podeszedł do niego i delikatnie stuknął w ramię. Mężczyzna zirytowany, że ktoś mu przeszkadza, zerknął na niego z ukosa. Na jego topornej twarzy odmalowało się zdziwienie, które w mgnieniu oka zastąpiła podejrzliwość. Zmarszczył brwi i skinął na jednego z konstruktorów stojących obok, by kontynuował jego pracę. Wskazał Hermannowi korytarz, w którym znajdowało się wejście do wyciszzonego pomieszczenia mieszkalnego szefa kuźni nr 3.

Cisza, jaka zapadła po zamknięciu drzwi, była wręcz namacalna. Tess odetchnął z ulgą.

- Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak możesz wytrzymać ten hałas.

- Lubię go – krótko skwitował Hefajstos. – Ja jestem Hesos, wynalazca i szef kuźni, a to mój azyl, bo żadne z was nie przylezie tutaj, by naśmiewać się z mojego kalectwa.

- Nic się nie zmieniłeś, Hef. – Smutno pokiwał głową Hermann. Nie chodziło mu bynajmniej o wygląd zewnętrzny brata, bo Hefajstos wciąż miał w porównaniu do innych Olimpijczyków, brzydką twarz i ciało, ale o to, że nigdy nie wyleczył się z kompleksów na tym tle. – Wiesz przecież, że pod względem wiedzy nie dorównujemy ci nawet razem wzięci. No, może ewentualnie Atena...

- Córeczka tatusia – prychnął pogardliwie Wynalazca. – Zawsze musi wsadzać nos tam, gdzie jej nie proszą.

Hermes odczuł coś na kształt wyrzutów sumienia, jak zawsze, gdy rozmawiał z bratem. Po pierwsze, niepotrzebnie wspominał o Atenie. Hefajstos nienawidził jej z całego serca, bo ze wszystkich dzieci Zeusa ona była najbardziej faworyzowana, a on zupełnie

odrzucony. Po drugie, Tess wiedział, jak bardzo samotny jest ten mało urodziwy mężczyzna i jak bardzo potrzebuje akceptacji ze strony grupy, chociaż sam nigdy by się do tego nie przyznał. Tyle razy obiecywał sobie, że zajrzy do niego, ale zawsze na drodze stało mu coś ważniejszego lub przyjemniejszego do zrobienia.

- Po co tu przyszedłeś? – spytał Wynałazca. – Zapewne to nie wizyta towarzyska, bo tylko Ami pamięta, żeby do mnie zajrzeć. A i to nie bezinteresownie.

- Chciałbym móc powiedzieć, że to zwykłe odwiedziny, ale nie mogę. – Wręczył bratu list.

- Znowu – westchnął z rozgoryczeniem Hefajstos. – Gdy cywilizacja zaczyna osiągać poziom, gdzie liczy się wiedza, a nie wygląd, przychodzi to. – Wskazał pogardliwie na elegancką kopertę. Masz. – Zwrócił list Hermesowi. – Przyjdę, chociaż wcale nie mam ochoty. A teraz idź, bo mam dużo pracy.

Mówiąc to, założył na twarz maskę i gogle.

Hermes wyszedł.

Beznadzieja była slumsami, których nie odwiedzał zbyt często. Bieda śmierdziała tam tak bardzo, że aż urywało nos. Hermann często bywał w slumsach kwartału przemysłowego, ale tych dwóch miejsc nie można było ze sobą porównać.

Pod ścianami, na czymś, co kiedyś było drogą, a teraz grząskim bagnem, leżeli ludzie, którzy nie mieli gdzie się podziać, ani co jeść. Ich oczy były puste, czekali tylko na śmierć, bo nadzieja już dawno ich opuściła. Byli też rzezimieszki i prostytutki, ale żadne z nich nie dostrzegało mężczyzny w podniszczonym surducie, bo Hermann nie chciał rzucać się w oczy.

Krążył po cuchnących uliczkach cały ranek, aż wreszcie natknął się na to, czego szukał – kolejkę wychudzonych biedaków na tyle jeszcze trzymających się życia, że próbowali znaleźć dla siebie jakąś pomoc.

Podejrzewał, że niewiele osób ma w sobie tyle współczucia i samozaparcia, by dobrowolnie tu przychodzić. Jeżeli jednak ktoś taki istnieje, to z pewnością jest to Demeter i ludzie przez nią inspirowani.

Na początku kolejki znalazł kilka ubranych na szaro kobiet wydających posiłki i opatrujących rany przybyłych ludzi. Na twarzach biedaków widać było ulgę, gdy przychodziła ich kolej. Wśród wolontariuszek wyróżniała się kobieta o pięknej twarzy i

bujnych kształtach, z chustką kryjącą gęste, czarne włosy, biegająca pomiędzy szopą służącą za magazyn a potrzebującymi.

- Witaj, cioteczko! – Hermann z uśmiechem zastąpił jej drogę.

- O! Hermesik! – ucieszyła się kobieta i cmoknęła go w policzek. – Dobrze, że jesteś, synku. Masz tu środek dezynfekujący. – Wcisnęła mu do rąk dwie niesione przez siebie butle. – Zanieś go do punktu opatrunkowego.

- Ale...

- No, już, już. Trzeba się spieszyć. Patrz, ile ludzi czeka na pomoc. – To powiedziawszy, zniknęła znów w szopie.

Chcąc nie chcąc, Hermes aż do południa nosił różne rzeczy, przestawiał jakieś paczki, prznosił nędzarzy, którzy już nie mogli chodzić, aż pot lał mu się z czoła. Dopiero gdy słońce stało wysoko na niebie, piękna brunetka klepnęła go w ramię.

- Wystarczy, synku. Pora na przerwę.

Usiedli z tyłu za szopą. Demeter wcisnęła mu w rękę jabłko, a sama zapaliła fajkę.

- Zmęczony? – spytała.

- Tak. Dawno już się tak nie napracowałem – przyznał. – Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz.

- Wystarczy mi świadomość, że choć trochę mogę im ulżyć w cierpieniu. A gdy widzę wdzięczność w ich oczach za to, że nie umierają samotnie, że ktoś może potrzymać ich za rękę w ostatniej chwili życia, wiem, że to, co robię, nie jest zupełnie pozbawione sensu.

- Zawsze byłaś idealistką, ciociu.

- Czy to źle?

- Lepsze to niż podejście do życia twojego brata.

- Ech... – Demeter machnęła ręką. – Pokrewieństwo moje i Zeusa to tylko czcze słowa. Nic nas nigdy nie łączyło i nie łączy. Mógłby coś zrobić z tą biedą – zakreśliła ręką krąg dookoła – ale ma to serdecznie w dupie.

- Fakt – zgodził się Hermann. – Dzisiaj jednak wyjątkowo nie przyszedłem obgadywać starego hipokryty. Przyszedłem do ciebie jako Posłaniec, Żywicielko.

Wręczył jej list.

- Skurwysyny – podsumowała Demeter po przeczytaniu. – Przyjdę.

Zza węgła dobiegło wołanie:

- Matko Merto! Matko Merto! Gdzie jesteś? Chleb się kończy!

- Muszę iść. – Demeter podniosła się ze starych skrzynek, na których siedzieli. –
Dobre z ciebie dziecko, Hermesie. Do zobaczenia.

Hermann był pewien, że gdy ciotka zacznie szukać w szopie chleba, to znajdzie paczkę lub dwie. Zawsze znajdowała.

Już miał odejść, gdy przypomniał sobie, że nie zapytał o innych Olimpijczyków. Zawrócił do szopy.

- Ciotko, gdzie znajdę innych? – spytał od progu.

Matka Merta stała z pudłem pełnym wielkich bochnów w rękach. Wyciągnęła go w kierunku mężczyzny.

- Zapracuj na informacje – uśmiechnęła się złośliwie.

Po dwóch godzinach wracał z Beznadziei śmierdzący, spocony i bolały go plecy od dźwigania, ale wiedział już gdzie szukać Posejdona, Hery i Hadesa.

Zmęczenie musiało przytępić jego zmysły, bo w innym razie wcześniej zorientowałby się, co się święci. Uliczka, na którą właśnie wszedł, wydała mu się dziwnie pusta. Nie było żywej duszy, tylko zza firanek zerkały ciekawskie oczy.

Hermann stanął na szeroko rozstawionych nogach, gotowy na przyjęcie ataku. Wiedział, że ktoś się na niego zasadził, sądząc po reakcji ludzi, ktoś znaczny, ale do głowy mu w tej chwili nie przychodziło, który z jego wrogów mógłby to być.

Z cienia bocznych zaułków wyłoniło się kilka postaci w długich, czarnych płaszczach i gładkich metalowych maskach na twarzach. W rękach trzymały giętkie pałki. Hermes spiął się, ale jednocześnie poczuł ulgę. Tajna Policja. Szakale. Spotkanie z nimi nie należało do przyjemności, ale i tak musiał zobaczyć się z ich szefem. Zdawał sobie sprawę, że sam odwlekałby ten obowiązek w nieskończoność, a tak nie miał już wyjścia.

Podniósł ręce do góry. Zbliżyli się, otaczając go. Zauważył, że nie zostali poinformowani, z kim mają do czynienia, bo nie zachowali specjalnych środków ostrożności przewidzianych na tę okoliczność przez Aresa. Stali zbyt blisko i byli źle rozmieszczeni. Mógłby im się wyrwać bez większego problemu, tylko po co? I tak musiał doręczyć bratu list.

Jego rozważania przerwał ostry ból w potylicy i ciemność, jaka po nim nastąpiła.

Ocknął się, gdy wrzucano go do małego pomieszczenia bez okien, za to z biurkiem, za którym siedział młody, przystojny mężczyzna z twarzą naznaczoną okrucieństwem. Ruchem ręki odprawił tajniaków. Zostali sami.

- Wstawaj, Tess. Wiem, że jesteś przytomny.

Hermann usiadł i rozmasował sobie głowę. Pod palcami czuł wielkiego guza i strup z krzepnącej krwi.

- A teraz mi zdradzisz, jaki jest powód twojej ostatniej wzmożonej aktywności – oznajmił Ares spokojnym głosem.

- Jak to? Ojciec ci nie powiedział? – z udawanym zdziwieniem spytał Hermann.

Ares był najbardziej lojalnym dzieckiem Zeusa i bolało go, że ojciec nie okazuje mu całkowitego zaufania, na jakie zasługiwał. Hermes nie mógł oprzeć się pokusie wbicia mu tej drobnej szpilki.

Główny Szakal spokojnie wstał i podszedł do niego. Tess ledwie zauważył cios, jaki spadł na jego twarz. Upadł. Ares powoli wrócił na swoje miejsce.

- Słucham? – ponaglił brata, który właśnie się podniósł i wypluł krew z rozciętej wargi. Ich spojrzenia spotkały się. Gdyby wzrok mógł zabijać, obydwaj padliby martwi w jednej chwili. .

Wielokrotnie występowali przeciwko sobie. Raz zwyciężał jeden, innym razem drugi. Hermes nie miał szans z Aresem w starciu bezpośrednim, ale gdy w grę wchodziła przebiegłość, zawsze wygrywał.

Tym razem jednak trzeba było urazy odłożyć na bok.

- Masz, Kacie. – Rzucił bratu na biurko kopertę. – Czytaj.

Ares przeczytał i w zamyśleniu stukał kopertą w blat. Wreszcie przestał.

- Przyjdę – rzucił krótko i zostawiwszy kopertę na biurku, wyszedł z celi.

- Wypuście pana – polecił strażnikom przy drzwiach. – Jest wolny.

Miękkim krokiem dzikiego kota odszedł wgłąb korytarza.

Po chwili Hermes stał na ponurej ulicy, przed budzącą przerażenie bramą prowadzącą do siedziby Tajnej Policji. Rzadko kto wychodził stamtąd żywy i o własnych siłach. Jemu się to udało. Nie pierwszy raz zresztą.

Otarł krew z wargi i ruszył w stronę cmentarza miejskiego. Szedł niepewnym krokiem, bo po uderzeniu wciąż huczało mu w głowie, jak w kuźni Hefajstosa.

Do wrót nekropolii dotarł wieczorem. Mógł pojechać koleją, ale w takim stanie

mógłby wzbudzić niepotrzebne zaniepokojenie. Poza tym było mu niedobrze, a nawet gdy nic mu nie dolegało, źle znosił zaduch wagonu i woń niemytych ciał. W tej chwili potrzebował raczej świeżego powietrza niż kolebania po nierównych torach.

Cmentarz miejski był olbrzymi. W biedniejszej części stały półki na urny, a w bogatszej kapliczki lub nawet mauzolea rodzinne. W samym centrum wznosiła się spalarnia zwłok i tam właśnie kierował się Hermann Tess.

O tej porze spalarnia była zamknięta, ale na jej tyłach, w pomieszczeniach służbowych, wciąż paliło się światło. Hermann zajrzał przez okno i zobaczył grupę smutnych mężczyzn siedzących przy stole, na którym stało kilka pustych już butelek Jadowitej Ognistówki. Skrzywił się na samo wspomnienie smaku i mocy tego znieczulacza.

Hadesa z nimi nie było.

- Czego tu szukasz, Posłańcze? – Cichy i łagodny głos rozległ się tuż przy uchu Tessa. - Czyżbyś chciał się napić z nieczystymi?

- Może i tak, Hadesie – Hermann odwrócił się do niego. – Byle nie Jadowitej Ognistówki.

- Zatem chodź.

Usiedli na schodach jednego z mauzoleów w głębi kwartału, a Hades sięgnął do środka i wyciągnął butelkę Księżycowej Wody.

- Pasuje – wskazał wielki księżyc w pełni, który właśnie wzeszedł nad H-polis.

Pociągnęli po łyku. Ten rodzaj alkoholu był zdradziecki, bo nie odczuwało się jego mocy, do momentu, aż spróbowało się wstać. Zazwyczaj na próbie się kończyło.

- Kto cię tak urządził? – spytał Hades.

- Ares i jego banda.

- Mieli powód?

- Profilaktycznie.

- Aha.

Przez chwilę milczeli, pijąc.

- Mam coś dla ciebie. – Hermes podał wujowi list.

Hades przeczytał go i bez słowa oddał. Skinął potwierdzająco głową. W ciszy opróżnili butelkę. Wreszcie gospodarz wstał.

- Chodź. Przenocujesz u mnie.

Hermann nie protestował.

Następnego dnia, wykąpany i z oczyszczonym ubraniem, Hermes wyruszył na poszukiwania Posejdona. Miał dosyć dokładne wskazówki, więc odnalazł go bez trudu na brzegu rzeki, z zarzuconą wędką, drzemiącego pod słomianym kapeluszem zsuniętym na twarz.

Hermes przyjrzał mu się dokładnie. Tak bardzo różnił się od swojego brata, kanclerza i niepodzielnego władcy H-polis. Twarz Posejdona pobrużdżona była zmarszczkami, włosy miał długie i siwe, a brodę po pas. Sprawiał wrażenie niegroźnego starca, ale Hermann wiedział, że pod luźną, szarą koszulą ciało jego wuja jest wciąż młode i twarde jak stal.

- No, jak? Przyjrzałeś mi się już dokładnie, łobuzie? – spytał Posejdon, nie otwierając oczu.

- Tak. I widzę, że nic a nic się nie zmieniłeś, stary draniu.

- Co za młodzieź. Żadnego szacunku dla starszych – westchnął brodac, przeciągając się i odkładając wędkę. – Co cię tu sprowadza, łotrze spod ciemnej gwiazdy?

- To. – Hermann wręczył mu list.

- Ach, to... – Starzec przeczytał i pokiwał głową. – No i dobrze. Zaczynałem się już nudzić.

- Przyjdiesz? – spytał Tess, chowając list.

- A jakże. Przyjdę i rozwalę łeb twojemu zafajdanemu ojcu.

- Trzymam cię za słowo – uśmiechnął się młody mężczyzna, wiedząc, jak bardzo nienawidzą się ci dwaj bracia. Niemal tak, jak on i Ares.

Słońce, szuwały i spokój górnego biegu Wielkiej Rzeki rozleniwił. Gdyby nie to, że zostały mu jeszcze dwa spotkania do odbycia, pewnie pomoczyłby kija razem z wujem. Ale praca czekała. Wstał i udał się w kierunku dzielnicy bogaczy.

Hera była osobą konserwatywną i przywiązaną do konwenansów, a przy tym bardzo pamiętliwą. Nie przepadała za Hermesem, z wzajemnością zresztą. Traktowali się jednak z chłodną rezerwą.

Hermann miał dosyć przygód w ostatnim czasie, więc, zamiast wkraść się bezpośrednio do apartamentów Hery, zadzwonił do drzwi jej domu.

Otworzyła mu służąca.

- Czego? – spytała nieufnie, widząc na schodach młodego mężczyznę w podniszczonym surducie, starym meloniku i z opuchniętą wargą.

- Mam list dla pani. – Uśmiechnął się promiennie, ale zaraz skrzywił, bo rana na wardze dała znać o sobie. – To bardzo pilne. Pani czeka na tę wiadomość.

- Daj – zabrała list i zniknęła w domu, zamykając mu drzwi przed nosem. Po dłuższej chwili znów się pojawiła.

- Pani mówi, że będzie – przekazała, oddając list.

Hermann zadowolony wyszedł na ulicę. Dlaczego każde doręczenie listu nie mogło tak wyglądać? Szybko i bezboleśnie.

Westchnął głęboko. Teraz czekało go najtrudniejsze spotkanie.

Zaczynało już zmierzchać i mężczyzna rozpalający gazowe latarnie rozpoczął już swój wieczorny obchód, gdy Hermann Tess stanął przed elegancką kamienicą w Dzielnicy Jabłoni, samym centrum Miasta. Zastukał pewnie w pięknie rzeźbione drzwi. Po chwili otworzył mu portier w aksamitnej liberii. Zmierzył przybysza wzrokiem i zatrzasnął mu je przed nosem.

Hermann westchnął zniecierpliwiony. Ponownie zastukał. Gdy rozżłoszczony portier znów otworzył drzwi, gotów zwymyślać natręta, pierwszym, co zobaczył, była złota moneta w dłoni stojącego na schodach przybłądy. Uśmiech wypełził mu na twarz i zaprosił gościa do środka. Moneta w tym czasie szybko zmieniła właściciela, a przynajmniej tak wydawało się portierowi.

Tess wszedł dalej, do salonu, gdzie czekała już na niego wyzywająco ubrana kobieta. Wyzywająco, ale nie wulgarnie. W dodatku była piękna. Hermann odniósł nieodparte wrażenie, że jego poczucie obowiązku właśnie zostało mocno nadwerężone. Wziął się jednak w garść.

- Przyszedłem do szefowej – oznajmił od progu. – Przekaż jej, że jest tu Posłaniec.

Dziewczyna na chwilę zniknęła za kotarą. Gdy wróciła, miała na sobie tylko przeźroczystą halkę.

- Chodź ze mną – mruknęła, ocierając się o niego. – Umilę ci czas oczekiwania na szefową.

Przywarła do niego całym ciałem i wbiła się w jego usta, penetrując je językiem. Nagle Hermanna przestało interesować zadanie. Chciał tylko pójść do sypialni i wziąć tę

piękną i namiętą kotkę, w każdy sposób, jaki tylko przyjdzie mu do głowy.

- Proszę, proszę. – Usłyszał za sobą kpiący głos. – Któż to raczył odwiedzić moje skromne progi?

Te słowa podziały na niego jak kubeł lodowatej wody.

- Korin, zostaw nas samych – poleciła szefowa. – A ty chodź ze mną.

Zabrała go do swoich prywatnych pokoi. W korytarzu panował półmrok, nie mógł więc dobrze jej się przyjrzeć. Jednak serce tłukło się w jego piersi jak oszalałe.

W gabinecie, gdzie paliła się mała gazowa lampka, z bólem musiał stwierdzić, że jest jeszcze piękniejsza, niż ją pamiętał.

Wysoka, smukła sylwetka, której wcięcie w talii i idealną krągłość piersi i bioder podkreślał gorset koloru czerwonego wina. Długie nogi okrywała półprzezroczysta tkanina, bardziej odkrywając, niż zakrywając to, co znajdowało się pod spodem. Rude loki wymykały się ze starannie upiętego koka, opadając kusząco na ramiona. Jej twarz miała klasycznie piękne rysy, pełne usta zapraszały do pocałunku, gładka skóra zachęcała, by ją dotknąć, a w zielonych oczach z radością można byłoby się utopić. Pod warunkiem, że nie patrzyłyby tak zimno, jak teraz.

- Tak – pomyślał. – Oto cała Afrodyta. Kochają się w niej wszyscy mężczyźni, a nienawidzą jej wszystkie kobiety. Ma każdego, kogo chce, a gdy się znudzi, wyrzuca go jak zepsutą zabawkę.

Tak zrobiła z nim i z wieloma innymi. Krótki płomienny romans, a potem dwa kawałki zielonego lodu zamiast oczu. Właśnie to wspomnienie raniło najbardziej.

- Co cię do mnie sprowadza? – spytała głębokim, melodyjnym głosem, siadając za filigranowym biurkiem. – Przedstawiłeś się jako Posłaniec, wnioskuje więc, że jesteś tu służbowo.

Mimowolnie Hermannowi nasunęło się porównanie do innej osoby siedzącej za biurkiem, z którą ostatnio miał do czynienia. Zarówno Ares, jak i Afrodyta mieli w sobie pewno podobieństwo, wspólny rys okrucieństwa. I o ile w stosunku do Afrodyty można było mówić jedynie o rysie, o tyle Ares składał się głównie z niego. Jednak to Afrodyty obawiał się bardziej, bo w przeciwieństwie do Aresa, mogła złamać go jednym słowem. Był jej wdzięczny, że nigdy tego nie zrobiła.

- Przynoszę list. – Wyciągnął w jej kierunku kopertę.

Spojrzała na kopertę, a potem z niemym pytaniem na niego.

- Czytaj – polecił.

Tak też zrobiła.

Gdy skończyła, na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, ale zauważył nieznaczne drżenie jej dłoni wsuwających list do koperty.

- Przyjdę – powiedziała łamiącym się głosem. – A teraz idź, proszę. Możesz spędzić noc z Korin. Na koszt firmy – dodała, nieobecna myślami.

Został.

\

Na spotkaniu stawili się wszyscy. Na ulicy Wschodniego Łuku pod numerem 52 znajdował się stary, nieużywany warsztat. Puste kotły i smętnie wiszące rury doprowadzające parę wyglądały jak martwe pomniki cywilizacji miejsko-przemysłowej.

Olimpijczycy spoglądali na siebie nieufnie. Nawet nie starali się maskować wzajemnej pogardy.

Atena i Artemida szeptały między sobą, stojąc na uboczu. Zeus zasiadł na jednym z nielicznych foteli i przyglądał się zgromadzonemu towarzystwu z ledwie skrywaną wyższością. Za ojcem ustawił się Ares i lustrował każdego lodowatym spojrzeniem. Afrodyta siedziała w fotelu po drugiej stronie pomieszczenia i paliła papierosa w długiej fifce. Pustym wzrokiem patrzyła za okno. Obok siedział Hades, jak zwykle zatopiony w swoich myślach. Poeta i dziwka, obydwójce obecni tylko ciałem. Demeter wolnym krokiem przechadzała się po warsztacie. Hera wysoko podnosiła brzeg swojej spódnicy w obawie przed kurzem i brudem tego miejsca. Posejdon siedział z zamkniętymi oczyma i sprawiał wrażenie, że drzemie. Dionizos i Hefajstos, dwaj najbrzydsi przedstawiciele Olimpijczyków, trzymali się na uboczu, ze swojej obecności wzajemnie czerpiąc siły.

Hermes patrzył na tę zbieraninę i cieszył się, że jego rola już się skończyła. Miał zawiadomić i zebrać ich w tym miejscu, o tej godzinie i wypełnił swoje zadanie. Reszta nie należała już do niego.

Dokładnie z wybiciem południa na wieży zegarowej kwartału, do warsztatu wszedł niepozorny człowiek. Twarz miał bladą i bez wyrazu, nosił niemodny szary frak do kompletu ze starym cylindrem. Na ulicy nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Tutaj jednak znalazł się w samym centrum zainteresowania.

- Witam państwa – odezwał się rzeczowym, wypranym z emocji głosem. – Cieszę się, że udało się wam wszystkim przybyć na czas. Znacnie państwo procedurę, więc nie

będę przedłużał. Macie tydzień na załatwienie swoich spraw. Dokładnie za tydzień, siedemnastego tarymena w południe, będę czekał na was przy zachodnim brzegu jeziora w Lesie Egejskim.

Spojrzał na każdego z obecnych, upewniając się, czy zrozumieli.

- Tydzień to bardzo mało czasu – zauważyła Afrodyta.

- Czas jest pojęciem względnym, pani – odparł przybysz. Po chwili dodał: – Jeżeli nie zjawicie się na czas, będzie to oznaczało, że zdecydowaliście się nie lecieć. Czy wszystko jest dla was jasne?

- Tak – potwierdził Zeus. – To nie jest nasza pierwsza Ewakuacja – znamy zasady i wiemy, co robić, Kapitanie. Zjawimy się na czas.

- Zatem, do zobaczenia za tydzień.

Szary człowieczek odwrócił się i wyszedł. Po chwili Olimpijczycy bez słowa poszli w jego ślady.

\

Zeus.

Wielki Z postanowił wykorzystać ten czas jak najlepiej. Dla siebie, rzecz jasna. Jego apartamenty były miejscem, do którego sprowadzano co wieczór nowe dziewczęta. Przestał się już nawet z tym kryć. Po co? W ciągu najbliższego tygodnia nikt nie podejmie żadnych kroków, by zagrozić jego pozycji. Bez przeszkód więc rozkoszował się nienaruszonymi jeszcze wdziękami młodych mieszkanek H-polis. Brał, nie dając nic w zamian. Nie widział w tym sensu. Przecież i tak niedługo całe Miasto wraz ze swoimi mieszkańcami zniknie z powierzchni ziemi. Codziennie przypominał mu o tym cień mechanicznego anioła wiszący nad miastem.

Hera.

Pani Rachela Stuvropul codziennie wydawała bale lub uroczyste kolacje, które organizowane były z całym przepychem, na jaki stać było jej męża. Najwykwintniejsze potrawy przyrządzane przez najlepszych kucharzy Miasta i najdroższe trunki, jakie zdobyć można było u najbardziej renomowanych kupców winnych, wieczorami znajdowały się na fantastycznie udekorowanych stołach w pałacu Stuvropulów. Ku rozrywce gości swoje sztuki prezentowały znane trupy teatralne, oprawę muzyczną zapewniała grupa ściągnięta za olbrzymie pieniądze prosto z sal koncertowych H-polis.

Hera pławiła się w luksusie i uwielbieniu, na deser mając pełne zawiści spojrzenia niektórych gości. Nie zamierzała sobie odmawiać niczego, świadoma, że nieprędko będzie miała szansę znów stać się najbogatszą i najbardziej szanowaną kobietą w mieście, w kraju czy gdziekolwiek indziej. Mierzył ją fakt, że budowę swojej pozycji społecznej znów będzie musiała zaczynać od podstaw.

Dionizos

Nora Króla Rozpusty, jak nazywano Dionizosa, nigdy nie organizowała tak intensywnych i częstych orgii, jak w tym okresie. Alkohol lał się strumieniami, a nagie kobiety i mężczyźni oddawali się wyuzdanym praktykom seksualnym. Gdzieś pomiędzy nimi sam Dion próbował znaleźć w tym wszystkim zapomnienie, jednak kiepsko mu szło. Gdy patrzył na zamglone rozkoszą oczy swoich bachantek, czuł tylko smutek.

Przyzwyczał się do tych kobiet, wielbiących go za wolność, jaką dał im w ograniczonym sztywnymi normami moralnymi życiu H-polis. Na co dzień były przykładnymi matkami, żonami, urzędniczkami, pracownicami fabryk w industrialnej części Miasta, a na kilka godzin, które udawało im się wyrwać ze zwykłego życia, stawały się nienasyconymi boginiami zmysłowości.

Wszystkie miały zginąć. To bolało Dionizosa. Pił więc, żeby zapomnieć i dawał im rozkosz, by zadośćuczynić im fakt, że umierać będą osamotnione, bez swojego Mistrza, który jak zawsze uratuje swój tłusty tyłek.

Hades

Grabarz w dzień pracował, jak zwykle, a nocami spoglądał w gwiazdy i tęsknił. Tęsknił za Persefoną, miłością swojego życia. Miłością, która odeszła na zawsze. Nie poradziła sobie z brzemieniem, jakim była Ewakuacja. Poddała w wątpliwość sens kontynuacji Eksperymentu, zawsze i tak kończącego się niepowodzeniem z takiego czy innego powodu. Nie chciała brać w tym dłużej udziału.

Hades był na nią zły i uważał, że postępuje głupio, ale nie miał wpływu na jej decyzję, bo już na długo przedtem ich drogi się rozeszły. Krzyczał na nią, błagał, ale nie zmieniła zdania. Oni odlecieli, ona została. Od tamtej pory wciąż starał się zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Spróbował spojrzeć na świat jej oczyma i zaczął dostrzegać to, czego wcześniej nie widział. Mieszkańcy takich miejsc, jak H-polis powoli stawiali się dla niego

ludźmi, a nie obiektami Eksperymentu. Najpierw go to zaniepokoiło, potem przeraziło i uznał, że takie angażowanie się emocjonalne jest niebezpieczne dla misji. Nie potrafił jednak przestać podglądać ludzi. Zaglądał w okna ich domów, by zobaczyć, jak żyją, pracował w kostnicy, by przekonać się, jak umierają, czytał ich poezję, interesował się sztuką, chodził na wyścigi i nielegalne walki, by poznać emocje, jakie nimi kierują. Zaczął rozumieć Persefonę i szanować za to, co odważyła się zrobić.

Często zadawał sobie pytanie: „Czy ja mógłbym postąpić podobnie?” i zawsze odpowiedź była jedna: „Nie”. Brakowało mu jej odwagi.

Demeter

Żywicielka też myślała o swojej córce. Rozumiała doskonale powody, jakie zmusiły ją do tak dramatycznego kroku. Persefona była nieodrodną córką swojej matki i podobnie jak ona pełna była współczucia i zrozumienia dla ludzi. Jednak w przeciwieństwie do Demeter nie miała poczucia misji, które było parą napędzającą jej matkę. Żywicielka wiedziała, że niezależnie czy to będzie H-polis, czy jakieś inne miasto przed, czy po nim, zawsze będą biedni i pokrzywdzeni przez los. Ktoś musi się nimi zajmować, sprawiać, by ich życie było chociaż odrobinę bardziej znośne. Gdy jej zabraknie, kto im pomoże? Nikt. Nie mogła więc zawieść.

Pogodziła się z ideą i wymogami Ewakuacji, którą traktowała podobnie jak narodziny i śmierć, jako część cyklu życia. A ona sama była tylko jedną z jego składowych.

Atena

Profesor Atrenia, korzystając ze swoich ostatnich dni pobytu na uczelni, siała zamęt w kręgach akademickich. Bez skrupułów wszczyniała kłótnie ze swoimi zwierzchnikami i kolegami, oskarżając ich o niedouczenie, egocentryzm i męski szowinizm. Samym pojawieniem się w pokoju wykładowców wywoływała popłoch, bo żaden z uczonych nie chciał narazić się jej ciętemu językowi.

Równocześnie stopniowo likwidowała swoje laboratorium, a najważniejsze notatki pakowała do niewielkiego kuferka podróżnego. Nie chciała tracić rezultatów swoich badań wraz z zagładą Miasta i później zaczynać wszystkiego od zera.

Drażniło ją to, że znów będzie musiała stopniowo i subtelnie wpływać na ludzkość, by ta osiągnęła odpowiedni stopień rozwoju cywilizacji i by alchemiczka mogła bez

przeszkód kontynuować swoje badania.

Ares

Aresowi było wszystko jedno. To miasto, czy inne, nie miało znaczenia. Nie ukrywał jednak, że lubił fazę społeczeństwa plemiennego, bo wtedy najbardziej doceniano jego siłę i umiłowanie brutalnej walki. Cieszyła go więc myśl, że niedługo będzie miał okazję do dobrej zabawy. Właśnie takiej, jaką lubił najbardziej.

Artemida

Ami intensywnie trenowała, chcąc wygrać ostatni wyścig ważek parowych w historii istnienia H-polis. Co chwilę wprowadzała udoskonalenia do swojego pojazdu, by tym ostatnim zwycięstwem postawić zgrabną kropkę nad i w swojej karierze pilota.

Nie miała żadnych rozterek moralnych, w przeciwieństwie do swojego bratabliźniaka, Apolla, którego artystyczna dusza nie wytrzymała zimnej bezosobowości Eksperymentu. Po którejś Ewakuacji z rzędu załamał się psychicznie. Co prawda poleciał z nimi ówczesnym odpowiednikiem mechanicznego anioła, ale na pokładzie jego stan tak bardzo się pogorszył, że Kapitan zamknął go w izolatce. Nigdy później o nim nie usłyszeli.

Artemidy nie interesowały losy brata, którego otwarcie uważała za mięczaka. To była jego sprawa, że nie wytrzymał presji, jaką niósł ze sobą Eksperyment. Jej to nie grozi.

Afrodyta

Afrodyta była zrozpaczona. Znalazła mężczyznę, jakiego szukała przez całe swoje życie i teraz musiała go opuścić.

Wiele razy podczas trwania Eksperymentu wiązała się z mężczyznami, których na początku znajomości uważała za tych jedynych, by potem okazali się tylko jednymi z wielu. Tym razem było inaczej.

Z zewnątrz nie odznaczał się niczym szczególnym. Był średniego wzrostu, przeciętnej budowy, z dłońmi szorstkimi od pracy. Miał za to wielkie serce, którym kochał ją z całej siły. Akceptował ją taką, jaką była. Wiedział, że jest burdel-mamą i nigdy nie próbował wpłynąć na nią, by zmieniła zawód. Nigdy niczego od niej nie żądał, zawsze czekał, aż ona sama będzie chciała coś mu dać, w zamian ofiarowując jej całego siebie. Początkowo trochę nim gardziła, bo brała to za czekanie na ochłapy uczucia. Z czasem

jednak nauczyła się cenić tę jego delikatność, która zabraniała mu w jakikolwiek sposób wywierać na nią presję. Nawet nie zauważyła, gdy pokochała go z taką mocą, o jaką się nawet nie podejrzewała. Był całym jej światem, chociaż starannie ukrywała to przed wszystkimi. I teraz miała go zostawić. Pozwolić, by umarł ze złamanym sercem.

Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Posejdon

Posejdon leżał, unosząc się na wodzie. Łagodne fale i leniwy przybrzeżny prąd rzeki opływający ciało, odprężał go. Nie żywił żadnych uczuć co do losów H-polis. Zarówno Miasto, jak i jego mieszkańcy byli mu zupełnie obojętni. Jedynym miejscem w tym zbiorowisku budynków, pełnym brudnych ludzi, huku parowych maszyn w fabrykach, dziwnych pojazdów poruszanych tłokami i siłą reakcji alchemicznych, była rzeka. Dobrze czuł się tylko w jej pobliżu i to tylko w górnym biegu, gdzie wpływała do Miasta. Płynąc przez nie, zbierała wszystkie zanieczyszczenia, by wypływając stać się śmierdzącym miejskim ściekiem.

Posejdon leżał na wodzie i patrzył na czarną plamę unoszącą się na niebie. Myślał o Hestii. Nikt jej już nie pamiętał. Odeszła w początkowej fazie Eksperymentu, uważając go za objaw niezrozumiałego egocentryzmu i pozbawionej humanitarnych zahamowań dewiacji. Kategorycznie sprzeciwiła się dalszemu udziałowi w nim. Kapitan odizolował ją od pozostałych i tak słuch o niej zaginął. Posejdon próbował czegoś się dowiedzieć, ale poradzono mu, żeby skoncentrował się na swoich sprawach, bo w przeciwnym razie może napytać sobie biedy. Nie chciał problemów, więc nigdy więcej nie pytał. Nie znaczyło to jednak, że o niej nie myślał. Z jednej strony podziwiał Hestię za jej bezkompromisowość, ale z drugiej uważał za głupią. Sam przyjął inną metodę – nieangażowania się i niewychylania. Postanowił przeczekać, bo przecież kiedyś ten bezsensowny Eksperyment musi się skończyć. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Hefajstos

Hefajstos, zwany też Wielkim Wynalazcą, powoli i starannie pakował swoje projekty do metalowej tuby. Gdy nowa cywilizacja zacznie się rozwijać, będzie co jakiś czas podsuwać ludziom pomysły i rozwiązania techniczne, by pchnąć sposób myślenia przyszłych wynalazców na właściwe tory. Jednocześnie będzie mógł w spokoju pracować

nad swoim własnym projektem, którego istnienia nikt nie podejrzewał.

Podróżna tuba na rysunki była tak skonstruowana, że pomiędzy jej podwójnymi ściankami mieścił się papier grubości włosa i tam właśnie Hefajstos skrywał schemat dzieła swojego życia – swojego własnego mechanicznego anioła, który mógłby mu pomóc wyrwać się z tej matni.

Hermes

Posłaniec cieszył się na Ewakuację i na nową przygodę, jaką gwarantowały początki cywilizacji. Jednocześnie żał mu było ludzi z H-polis. Żył pomiędzy nimi zbyt długo i zbyt blisko z nimi, by przejść do porządku dziennego nad zgładzeniem całej populacji Miasta.

Przez tydzień, jaki pozostał mu do opuszczenia tego miejsca, krążył po ulicach, odwiedzał różne miejsca, rozmawiał z ludźmi, kochał się z kobietami. Chłonał każdą chwilę i każdy element codziennego życia Miasta i jego mieszkańców. Chciał to wszystko zapamiętać, by ze swojej pamięci uczynić pomnik. Pomnik poświęcony Hellenopolis i Hellenom.

Tylko tyle mógł dla nich zrobić.

\

Nadszedł siedemnasty dzień letniego miesiąca tarymen. Na wielkim jeziorze w głębi Lasu Egejskiego, unosiła się czarna sylwetka anioła. Fale łagodnie kołysały jego wrzecionowatym korpusem, do którego ściśle przylegały złożone skrzydła.

U brzegu, na drewnianym pomoście stało dwanaście postaci. Kilka z nich miało ze sobą niewielkie bagaże. Od anioła oderwała się spora łódź zaopatrzona w dymiący komin i spore koła napędowe. Szybko zbliżała się ku czekającej grupce. Na dziobie stał Kapitan, wpatrując się w nich badawczo i próbując wyczytać coś z nieruchomych twarzy. Bez rezultatu. Były jak maski.

Łódź przycumowała do pomostu. Wsiadali w milczeniu i dopiero gdy zajęli miejsca, zauważyli, że ktoś został.

- Afrodyto – ponaglił Kapitan. – Proszę wsiadać. Musimy odpłynąć.
- Proszę bardzo, płynicie. Ale beze mnie – oznajmiła na pozór lekko piękna kobieta.
- Proszę nie żartować i wsiadać.
- Ależ ja jestem całkowicie poważna. I zdecydowana.
- Nie! – wyrwało się Hermesowi, patrzącemu na nią z rozpaczą. W mgnieniu oka był

przy cumach. – Proszę, zastanów się jeszcze i powiedz, że to był żart.

- Nie, mój chłopcze. – Poglądziła go po policzku dłonią w atlasowej rękawiczce. – Jesteś lekkoduchem, ale o dobrym sercu. Może kiedyś zrozumiesz, dlaczego postępuję tak, a nie inaczej.

- Piękna... – Przycisnął jej dłoń do policzka. – Wiesz, że cię kocham. Nie opuszczaj mnie.

- Hermesie – uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Ty nawet nie wiesz, co znaczy to słowo. Podobnie zresztą, jak pozostali.

Spojrzała ponad jego ramieniem na twarze swoich towarzyszy. Przez chwilę zatrzymała wzrok na czarnych, przepełnionych bólem oczach.

- Z wyjątkiem Hadesa – dodała. – On chyba zaczyna właśnie rozumieć.

- Nie pozwolę ci popełnić takiego głupstwa i zostać. – Uścisk dłoni Hermesa nasilił się.

- Nie jesteś w stanie mnie zatrzymać, Żywe Srebro. – Z czułością ucałowała go w czoło. – Po prostu pamiętaj o mnie.

Hermes z bólem serca rozluźnił uścisk. Patrzył, jak najpiękniejsza kobieta, jaką znał, odwraca się, uśmiechając dziwnie i pełnym gracji krokiem odchodzi, by na zawsze zniknąć z jego życia.

Dopiero wiele dni później, gdy mechaniczny anioł unosił się wysoko w przestworzach, Hermes odgadł znaczenie ostatniego uśmiechu Afrodyty. To był uśmiech tryumfu, zwycięstwa nad swoimi słabościami.

\

Afrodyta wysiadła z wagonu kolei na Dworcu Głównym H-polis i krokiem lekkim, jakby zdjęto jej z pleców olbrzymi ciężar, ruszyła do swojego domu w Dzielnicy Jabłoni i do ukochanego mężczyzny. Wszędzie mijała ludzi zarówno biednych, jak i bogatych, którzy stali z głowami zadartymi w górę, próbując wypatrzeć mechanicznego anioła. Nigdzie jednak nie było go widać. Niebo było czyste. Na twarzach niektórych z gapiów nieśmiało zaczynała pojawiać się nadzieja i ulga, że tajemnicze zagrożenie odeszło wraz z czarnym cieniem.

Tylko ona jedna wiedziała, że tak naprawdę, to dopiero początek końca.

Zachodnia Dolina Gausy, czerwiec 2010